DZIENNIK
Mód Paryskich.

LWÓW 16 STYCZNIA 1841. Ner. 2. ROK DRUGI.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca, do każdego numeru dołączone są dwie ryciny. Prenumerata wynosi we Lwowie półrocznie 5 złr. 15 kr., rocznie 10 złr.; bez rycin półrocznie 2 złr. 30 kr., rocznie 5 złr. Dla tych którzy pocztą ten dziennik odbierają, dolicza się do powyższych cen za przesyłkę pocztową od jednego exemplarza półrocznie 48 kr., rocznie 1 złr 36 kr. śrebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego, pod liczbą 301 w mieście, tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych.

MODY.

Paryż 28 grudnia.

Stroje damskie. Ciemne kolory są najulubieńsze w tym roku; do tańca tylko używają powszechnie białych, lekkich sukień. Jestto koniecznością w ubiorach wyższych towarzystw aby szlafrok lub suknia, burnus, rękawiczki i buciki były jednakowego, najczęściej czarnego koloru, przy czem do uzupełnienia ubrania jest nieodbicie potrzebny kapelusz czarny, axamitny, z trzema małemi, również czarnemi piórami, upiętemi nisko po prawej stronie. Taki strój głowy jest teraz najulubieńszy, najużywańszy, i stanowi ubior wytworny osób dostojniejszych. Do sukień w jasnych kolorach biorą się buciki czarne i rękawiczki duńskie które teraz do najmodniejszych należą. Tak zwane szarfy, rodzaj szalików, noszą najwięcej czarne, z axamitu lub atłasu, albo też w takim kolorze, jak suknia Burnusy robią najwięcej z kaszmirów, podobnież i szlafroki pierwszych elegantek są kaszmirowe ciemnodzikiego koloru. Do najposzukiwańszych kaszmirów należą koloru zwanego *noisette*, nie jestto jednak orzechowy, lecz do ciemnomigdałowego najwięcej zbliżony; potem popielatego i kawowego. Na *poranki* używają najczęściej gładkiego atłasu ciemnej barwy, wszystkie zaś ciemne tegoroczne materie są po większej części wyrabiane na ciemnym atłasie w najpiękniejsze kolorowe wzory; na dnie różowem lub białem trudno obaczyć. Flanela angielska w drobne haftowane muszki jest najposzukiwańsza na same domowe stroje i podwłośniki. Francuzki nie noszą, jak u nas, watowanych szlafroków lub sukień, gdyż takowe nie dają się pięknie drapować, natomiast watują mocno spodnice, co do elegancii stroju wielce się przyczynia. Suknie teraz noszą barzo szerokie, najmniej w ośm brytów, a nieraz zdarza się widzieć i w dziesięć. Garnirowania i falbany, korunkowe wyjąwszy, zarzucono zupełnie. Blondyn już nikt nie nosi, za bezcen dostać je można; lecz zato korunki trzeba przepłacać. Piękne angielskie lub bruxelskie płacą *meter*, naszego półtora łokcia, od stu do pięciu set franków. Pokazowano mi mały kołnierzyk korunkowy wartości 600 franków. Hafty wyszły już z mody, ale co mieć potrzeba koniecznie, to kołnierzyk gładki, organtynowy, obszyty walensienkami, i chustkę gładką z cienkiego batystu, obszytą szeroką korunką, z których średnie kosztują od 60 do 100 franków.

Ubranie głowy jest tak urządzone, że warkocz prawie na plecach spoczywa. Włosy stroją w kwiaty, w złote szpilki neapolitańskie z koralami, i we włoskie sztylecíki. Zresztą loki, plecionki, ubrania w warkocze z gołych włosów są najpowszechniejsze.

Krótkie płaszczyki zwane *pelisse* bardzo są w modzie, widać je najwięcej z axamitu lub kaszmiru, a kapiszon przy nich jest nieodbity. Szmuklerskie roboty i fręzle bardzo są używane. Spencerki i małe peleryny z czarnego axamitu są ulubione. Do najbogatszych burnusów należą axamitne, sobolami obszyte.

Szanowna korespondentka, która nam powyższe szczegóły nadsyła, robi następujące ogólne postrzeżenia nad paryskiemi modami.

Powiedzieć coś ogólnego o modach tutejszych jest bardzo trudno, cała albowiem sztuka i znajomość ubierania się paryżanek na tem zależy, aby dobrać krój najstosowniejszy do kibici, kolory w których najwięcej do twarzy, i sposób ufałdowania obszycia, wycięcia i t. d. najzgodniejsze z postacią ciała tak, iżby ukryć wady, jeśli są jakie, a piękności z pod zasłony wydatniejszemi uczynić. Przeto francuzki są po większej części ubrane tak gustownie, tak pięknie, a razem tak rozmaicie, iż nietylko nie są ślepemi niewolnicami mody, ani się małpują wzajemnie, ale prawie każda tworzy mniej więcej wyłączną modę dla siebie Nie obaczysz w jednym salonie dwoch sukień sobie podobnych, a chociażby tylko drobne różniły je odmiany, łatwo je wprawne oko wykryje: bo jak są rozmaite dam postacie i twarze, tak też rozmaite będą ubrania i kroje ich sukień. Jakkolwiek drapowanie staników i szerokie rękawy są prawie powszechnie przyjęte, wszelako nie ujrzysz otyłej osoby ubranej inaczej, jak tylko w gładkim staniku i z wąskiemi rękawami. Wszystkoto da się szczególniej zastosować do czypków, kapeluszów, zawojków i tym podobnych ubrań na głowę tak, iż pod pewnym względem możnaby powiedzieć iż w Paryżu niema mody panującej, ale owszem pięknoście wykształceniem gustu swojego panują nad modą.

Ztąd jak każda część miasta tak prawie i każdy dziennik inną ma modę, a wszystkie ledwie nastały już i znikają, podobne błędnym jaskrom przeznaczonym błysnąć na chwilę, podobać się, zwabić, omamić i zniknąć.

Niema w Paryżu zwyczaju sprawiać, jak u nas, sukień bez liku. Cztery wystarczą na całą zimę dla najpierwszej elegantki. Lecz zato przesadzają się w doborze jak najwyszukańszych materij, a najtańsza z tych sukień będzie kosztować 300 franków. Cały przepych zasadza się w korunkach, rękawiczkach i brylantach, które na każdy bal inaczej każą oprawiać. Wreszcie pierwszą oznaką dobrego tonu jest, aby na ulicy być jak najskromniej ubraną. Z wytwornie wystrojonych śmieją się wszyscy, a nie jedna usłyszy za sobą mówiących: *voilà une grisette endimanchée!*

Ubranie głowy na teraźniejszej rycinie przedstawione jest według Marilona nadwornego fryziera xiężny *Nemours;* suknia zaś roboty pani Brunel. W poprzedniej rycinie z 1 stycznia przedstawiliśmy ubranie głowy według Normandina fryziera infantki hiszpańskiej, z kwiatami roboty Millerego, tudzież suknię balową według pani Landrin z atłasu, garnirowaną axamitnemi taśmami. Wreszcie tak na tej jak i na tamtej spodnicę *Oudinot.*

Stroje męskie. Rycina nasza przedstawia najmodniejszy płaszcz tegoroczny. Rękawy są szerokie i ścinane okrągło; peleryna długa; kołnierz nieco szerszy od tych jakie dają przy paletotach zapinanych na dwie strony, lecz węższy niż u płaszczów dawnych; kieszenie dają się na przodzie dość nisko.

Głos serca.

Powiastka.

I czemuż wiecznie same powiastki o sercu? Jak gdyby ludzie się zawsze tylko kochali, zawsze młodymi byli. . . .

— Jak gdyby róża zawsze tylko woniała, a nieschła. A przecież lubo może nie jednej starszej damie pożyteczniejszy olejek z opadłych główek różanych, lubo każdemu gospodarzowi najmilsza wtedy niwa kiedy półkopkami zasiana; wszelako róża tylko wtedy jest piękna kiedy się rozwija i pachnie, a niwa gdy się zieleni wiosną, ludzie zaś gdy kochają. A ta cudowna pora tak krótka!

Dziwna to pora! Zupełnie podobna do tej kiedy rane wiosenne słońce igra ze mgłami wiosenno oddychającej ziemi. Ile tam fantastycznych obrazów, przemian i kształtów; chociaż wszystko ułuda.

Właśnie ta pora nastawała. I w tym samym czasie kiedy to wiosenne słońce na wsi bawiło się z mgłami dolin, w mieście ono suszyło ostatnie mokre ślady śniegu na wałach; i wołając na wsi przez swego posła skowronka chłopka do roboty na pole; zwołało w mieście około drugiej z po-

łudnia liczne eleganckie towarzystwo na wały.

W całym tym świetnym tłumie, ile tam było chodzących razem kuzynostw, witających się znajomych, ukłonów i konesansów, niebyło bezwątpienia tak delikatnego a przecież tak pewnego węzła jak owy, który zaczął łączyć dwa pojedyncze w nim grona. Jedno składała podeszła matka z młodziuchną piękną córką; drugie stanowiło kilku wymuskanych paniczów, przy których się osobliwie jeden, idący z boku, młody i, jak z całego wejrzenia widzieć, romansowy nieco człowiek odznaczał. Owa matka byłato pani K* mieszkająca w mieście dla edukacii swej córki; jej córka żywa nadzwyczaj blondynka, będąca w tych właśnie latach gdzie jak w czerwcowej pogodzie dziecinna naiwność i świeżość ino tem niebezpieczniej z ogniem wschodzącego lata się miesza. Ów romansowy młodzieniec o jasnem, czarnem oku i długich rzęsno z pod białego kapelusza wijących się kędziorach, byłto jeden ze zwolenników osobnej dzisiaj i tak licznej klasy artystów, a w szczególności muzyk. Uważając swój flet za jedyne w naszych czasach narzędzie, zdolne jak Orfeusza piszczałka poruszyć zimny tłum ludu, puścił się, ze swą czarodziejską rószczką pod pachą, na artystowską swą missię, i jadąc z Kijowa na zachód, stanął na jakiś czas we Lwowie. Jeżeli kto, to on zapewne czuł całą pstrą piękność swego zawodu, i jeśli na kim to na nim pewnie przebijało się to czucie zewnętrznie, i powlekało jego nieznaną zresztą nikomu jak tym kilku paniczom osobę mglistym jakimś i zajmującym urokiem.

Zdybawszy się te oba nierówne grona, ukłoniły się towarzysze młodego artysty, jako znajomi, pani K* i odebrali ukłon nawzajem, a ile razy odtąd przechodziły obok siebie, niemógł się nasz Gonzaga, tak się bowiem nazywał, żadną miarą powściągnąć aby nie podziwić swym artystowskim okiem jasnego oblicza pięknej mijającej dziewczyny; równie też ona nie mogła wstrzymać swej ciekawości dziecinnej, aby niespojrzeć na tę miłą osobliwszą figurę, co z taką świątobliwością zdjęła była przed nią kapelusz.

Tak niemyśląc nawet o sobie gdy się rozeszli, spojrzeli znów mimowolnie i prawie z mechanicznej konieczności kiedy się znowu zeszli, a każde spojrzenie, jak ponawiające się od czasu do czasu zasilenie nitek na tkackim warstacie, wiązało guz po guzie na tej subtelnej tkance pierwszego zapoznania. Nareszcie rozpierzchło się powoli towarzystwo, odeszli towarzysze Gonzagi, sama pani K* się została. Nawykła ze swego edukacijnego obowiązku do skrupulatnego użytkowania z każdego kroku, idąc nawet na przechadzkę niechciała chodzić na darmo i była zawsze ostatnią przy odwrocie. Tą razą przecie był jeszcze, zdawało się, kto inny, co poźniej nawet od niej i za nią wały opuścił. Czy więc ta drobna okoliczność tak swoją niezwyczajnością naszą edukacijną rodzinę zniepokoiła, czy też co innego, dość że widać było na pannie K* trwożliwe pomieszanie. Wnet niespokojnie strzeliła okiem na bok, wnet rozwinęła wzrok skromnie jak motylek skrzydełka, i szła patrząc wciąż w ziemię; to znów coś zaczęła mówić niezrozumiale, i błysnąwszy okiem na stronę, zaśmiała się żywo, jakby łaskotliwie draśnięta, aż doszedłszy już do ładnego domu na przedmieściu, ledwie puściwszy matkę przed siebie, rzuciła się spiesznie za nią, i zadyszana, po schodach wpadła do panieńskiego pokoju.

Powoli koło tegoż domu przeszedł niespokojny, roztargniony Gonzaga; zajrzał niebawem w bramę, ale nieobaczywszy nic prócz umywanego właśnie powozu na dziedzińcu, poszedł z westchnieniem dalej, aż wyszedł poza domy i na pole się dostał. Tu na odpowiadający widok bujnej wiosennej natury, rozwinęło się i jego wezbrane serce, i boleśno tęskliwie pognało w świat za drugiem. Młode artystowskie oko wzniosło się w sine niebo, a muzykalne ręce zkrzyżowały gwałtownie na piersi, gdzie jak w owej uroczystej chwili, kiedy śród muzyki i radośnych okrzyków odsłania się jaki nowowystawiony posąg ludowi, pojawił się jednym błyskiem, jak Jowiszowa Minerwa, śliczny obraz jego serca, i dziwne harmonie w niem zabrzmiały. O Paulino! Paulino! był wiecznie powtarzający się refren tego uczuciowego chóru, gdzie zresztą żadne inne ziemskie słowo nie brzmiało. Paulino, tylko Paulino! było jedyne słowo w tym obfitym połowie uczuć, które cudotworczy urok jej spojrzenia wydobył z jego serca. Paulino, Paulino!.. Bo tak *Pauline!* mówiła do niej matka na wałach, a

dźwięczne lube *plait-il?* odpowiedziane matce, powiedziało mu mimowolnie: Paulina się nazywam. Nie! myślał Gonzaga w swej poetycznej duszy, tego niezniosę!.. Nie, powtarzamy, tego pierwszego roztargnienia serca nie opisać.

Wracał koło jej domu do miasta. Tu za temi murami całe moje życie, a kamień mi go broni! Na kwiecie co się dopiero tak pięknie rozwinął, wylągł się mały robaczek z czerwoną, jadowitą główką, naruszył wonny pyłek kwiatu i zasępił młodziana. Ach, miłość wiosną, lecz wiosną też marcowe chwile!

Rzetelny zaś skutek, jakie te bujne sentymenta miały na jego życie był, że postanowił, niewiedząc właściwie czego, czysto jakąś naturalną, konieczną maszynerią wewnątrz siebie wiedziony, zostać się tu we Lwowie. Na ten koniec potrzebował sobie zapewnić utrzymanie, i dostał po przydłuższym nieco zachodzie próżne miejsce w orkiestrze. W orkiestrze? w orkiestrze?... Cóż! Poruszać choć raz na miesiąc jakiem czułem *solo* cały lud zgromadzony! odwilżać zdrojem harmonii zwiędłe kłopotną powszedniością serca! Czyjeż powołanie użyteczniejsze? czyjeż serce zdolniejsze i godniejsze kochania? Któż może żądać słuszniej miłości, jak ten co ludziom serce daje?

Osobliwie że kochając, nie w orkiestrze się kocha. A na wałach w jakiem takiem ubraniu wszyscy do siebie podobni. Nosząc do tego jeszcze długie włosy *à l'artiste*, któremu każde towarzystwo dostępne. To też obaczywszy się znów raz na wałach, zdało się pierwsze spojrzenie Gonzagi i Pauliny niemem wprawdzie, lecz zrozumiałem powitaniem. A jeśli pani K* dziś nadzwyczaj prędko zniknęła, tem tkliwiej zabrzmiały draśnione przypadkiem struny młodego serca i tem wyraźniej tęskny głos jego się ozwał.

Nastrojone tak okolicznościami serca zgodziły się w swem młodocianem omgleniu do wzajemnej, i jak od niechcenia zchodzącej się melodii, i gdy zapalony młodzieniec chciał się przez wszystkie przedzielające go zapory przedrzeć gwałtownie aż do niej, ona niewiedząc o tych przeszkodach, odpowiadała mu o tyle swojem mimowolnem spojrzeniem, ile potrzeba było aby przyświecić dla pokazania drogi. A jedno i drugie tak się naturalnie, samo z siebie snowało. W starogreckiej, dodońskiej dąbrowie śledziły wieszczki wolę bogów w brzmieniu porozwieszanych wkoło świątyni miedzianych naczyń, które chwiane od wiatru głos bogów im zwiastowały. Jak owe wieszczki tych szumów, słuchali nabożnie i nasi kochankowie tego boskiego głosu serca, co wydawany burzliwym wichrem ich żywej wiosennowietrznej młodości, wydawał się im równie wyrocznym głosem losu. Święty głos serca!

Łaskawa opatrzność pomna na przedłużenie, ile możności, naszych tu ziemskich uciech, sprawiła i to, że nasza najmilsza uciecha, nasza pierwsza miłość jest oraz najtrwalszą. Postępuje ta pierwsza miłość jako nadzwyczaj niespokojnie, tak też i nadzwyczaj powoli. Wciąż się wzrusza, lecz stoi. Jeszcze nieumie stąpać. Sama niewie gdzie jej kres ostateczny. Miłośćto jeszcze słusznie z zawiązanemi oczyma. Chwilowe jej wrażenia są tak głębokie i mocne że kochankowie ujrzawszy się raz w dwa tygodnie, mogą ze dwanaście dni najmniej nad doznanem wrażeniem jednego spojrzenia, jednego tchnienia roskoszować, niczego więcej niepragnąc. Tak też i niniejsza artystowska, a więc tem sentymentalniejsza miłość ograniczała się na pieszczotnem błąkaniu około przybytku swego bóstwa, bądź wieczór po teatrze przy xiężycu i gwiazdach, bądź rano o wschodzie słońca. Niebieską zaś odżywiającą ją manną, były czasowe wyglądania jakiejś twarzyczki z okna, kiedy się on błąkał pod domem, czasowe promienne wyzierania, o których niebył właściwie pewny czy one rzetelnie jego mu objawiły bóstwo, na które jego idealne serce biło nadzwyczaj gwałtownie; o! głos serca!...

Jedynem ważniejszem zdarzeniem z tej pory było mu raz zdybanie się z pokojówką Pauliny. Długiem przebywaniem koło jej pomieszkania obznajomił się był z widzenia ze wszystkiemi żywotnemi i nieżywotnemi przedmiotami, które do pani K* należały, a więc i z panną Barbarą, lubo sam jak mu się zdawało był jej nieznanym. Otoż zdybawszy ją raz wychodzącą z domu, okiem, które na nią jak na półznajomą patrzało, znalazł na jej twarzy dziwny uśmiech porozumienia. Cóż to miało znaczyć? Zapewne nic innego jak że sądząc po tylu poufnych subretkach, widzianych na teatrze, i ta w rzetelnym jego romansie rolę poufnej grała, co go o-

czywiście niemało w samym romansie utwierdziło. Szkoda tylko że jej nie mógł ani razu obaczyć, ograniczony znowu na same owe tajemne wyglądania z za okna. Na dobitek zasłociło się jeszcze na dworze, niemożna było ani czuwać pod oknem, ani się kiedykolwiek wychodu pani K* i Pauliny w deszcz na miasto spodziewać! Jakoż, podobnie krnąbrnemu ludowi bożemu, kiedy mu manny zabrakło, rozjątrzyło się i jego wychudłe serce, zesmutniał i zponurzał jak pogoda na dworze.

W takim pokutnym stanie, zgrawszy się jednego wieczora w orkiestrze, wybiegł zmęczony dla odetchnienia z pomiędzy ciasnego rumowiska pulpitow, świeczek, skrzypek i basów, i stanął biedny idealnego świata mieszkaniec w niskich drzwiach orkiestry wiodących na kurytarz. Słuchając kiedy go znowu dzwonek do pulpitu zawoła, usłyszał rączy, kobiecy bieg kurytarzem, i nadbiegła... kto? hoża panna Barbara, pokojówka Pauliny. Mimo spiesznego kroku zajrzała mu mocno w oczy, i odebrawszy równie zdziwione spojrzenie wzajem, pospieszyła nieco wolniej dalej, na pierwsze piątro. Paulina tu? przemówił głos serca w Gonzadze, i nagnał go za pokojówką, aby się dowiedział w którei loży, lub też może na wychodnem mógłby ją ujrzeć. Dościgł pokojówkę, gdy właśnie drzwi loży otwierała. Ujrzała go tuż za sobą, i żałując może zamknąć mu drzwi przed nosem, stanęła na samym progu loży w drzwiach otwartych. Cofnął się, a pokojówka weszła. Po kilku chwilach niepewnego oczekiwania otwarły się drzwi znowu, i widać było wychodzącą panią K* z córką, i jeszcze jakąś damę, za niemi pokojówkę. Gonzaga stojąc na schodach, aby im zrobić miejsce, podbiegł troche wyżej ku nim, i zdybał się z idącemi paniami. Ku niewymownej radości uczuł wzrok pięknej Pauliny, która go, jak mu się zdawało, jakimś zdziwionem, jednakże rozweselonem spojrzeniem powitała, i tylko co niestanęła. Po jej odejściu spotkał go jeszcze szyderczy uśmiech Basi, i ocknął z zachwycenia. O boże! boże! zawołał uniesiony, gdy już całe widzenie przeszło, więc to przecie prawda! marzenia moje rzeczewistością! ona mnie zna.. . i kocha?... Tu usłyszał turkot zajeżdżającego a potem odjeżdżającego powozu, i przypomniał sobie że to ona odjeżdża. Ach gdzież jemu teraz między pulpity i basy! Nieba, gwiazd, natury! Wyleciał na dwór i biegł dalej i dalej śladem tych powozowych latarni ktore biegły przed nim jako skazówki drogi zbawienia. Ale niestety! skorsza para gniadoszów od najzakochańszego piechotnika! Przybywszy zadyszany do jej mieszkania, nie zastał już żadnego śladu ani powozu, ani wysiadających. Usiadł znużony na kamiennej ławce pod domem, myśląc że przynajmniej spoczęcia w cieniu tych murów, które mu skarb jego kryją, nikt mu wzbronić nie może...

I nikt mu w samej rzeczy nie bronił. Owszem wszyscy, domownicy, służący, przechodząc sam i tam koło niego, uchylali się bacznie przy nim tak, aby ani w błoto na środku drogi, ani mu na nogę niestąpić. Usłyszał nawet z rozmowy tych ludzi, że przyjechało jakieś krewne państwo ze wsi do pani K*, że dla tego biegała Basia aż do teatru za nią, że będzie jakaś uroczystość, i że się zapewne bez jakiej zabawy nieobejdzie. Głaskana takiem łagodnem postępowaniem, łagodniała i sroga katusza jego serca, i wypogadzała się powoli w słodką, sentymentalną czułość, powiększaną bliskością lubej Co pewnie było tylko magicznym wpływem zbliżającej się większej jeszcze roskoszy, która wnet miała nastąpić, i jakby rozjaśnieniem powietrza przed pojawieniem się ducha, który tą razą przyjął formę małej spadającej karteczki. W tem zaszeleściała jakaś kobieca suknia w oknie, pokazała się jakaś panienka, i zniknąwszy jak ptaszyna jego widokiem spłoszona, opuściła z okna listek, który chwiejąc się w powietrzu, spływał na dół. Piął się, rozkrzyżował i wyciągał ramiona za spadającym listkiem Gonzaga, nareszcie go ułowił... bilecik! Ach.. a tu ciemno i niemożna przeczytać! Byłby w tej chwili jak Nero nietylko lichą nadpełtewską mieścinę, ale stolicę świata podpalił, aby w przepychu blasku napoić się tym przepychem czucia. Ale cóż robić? ani jednego kaganka; a serce, choć ma święty głos wieszczej, słowiańskiej zazuli, kociego wzroku niema. A co w tem najgorsza że może ma natychmiast odpowiedź nastąpić, odpowiedź, która może jego szczęście stanowi... Ach świecy! świecy! rospaczał nasz kochanek. Nic niepomogło. Wszystko przepadło dla przeklętej ciemnoty. Musiał biedz aż ku miastu, a tam,

jedna zachmurzona jak stara babka latarka, spełniła najgorętsze życzenia jego i odsłoniła te słowa na bilecie: »We wtorek u nas zabawa! bądź o dziesiątej wieczorem w garderobie, która jest tam, skąd ta karteczka spadła.«

Otoż chciał światła, a światło go zaćmiło! Niechże kto odgadnie co sprawia wielkie skutki? — Słabe współdziałanie nędznej latarki! I znów, prawdę powiedziawszy, nie najpoprawniej nakryślone wiersze, pozbawiły biednego artystę ostatka przytomności, i przeszkodziły rozebrać tego wypadku owemi, niedarmo w szkołach uczonemi probierczemi kwestiami: kto? co? gdzie? czemu? kiedy? i jakim sposobem w świecie?* Nic z tego! Karteczka ta jak czarodziejski listek paproci, mogący nas po myśli przenieść w najodleglejsze strony, przeniósł go żywcem w kraj najroskoszniejszych dumań, w siódme pozakryształowe niebo marzeń, zkąd mu się nasza cała ziemia wydała jak mały punkcik, a tym punkcikiem była garderoba we Lwowie na przedmieściu.

Cała powyższa scena, z której, bacząc na wybujałą krewkość nierozmyślnej młodości niechaj się nasi czytelnicy nie gorszą, działa się w piątek wieczor.

»A w niedziele rano« jak mówi piosnka gminna, wyszła pani K* z córką do kościoła. Przechodząc halickiem ujrzała panna Paulina idącego na przeciw Gonzagę. Nie pierwszy razto było i niepierwsza przyjemność. Pokłoniono się oczyma i rozminiono W tem wraca się młodzieniec i kłaniając się damom, oddaje najprzód z miną niepewną, potem niby stanowczą, chustkę pannie Paulinie, którą tuż upuściła. Panna Paulina wzięła chustkę z lekkiem kiwnieniem głowy, i wziąwszy strofujące matczyne *prenez donc garde Pauline!* przeszło to spotkanie najciszej. Gonzaga poszedł dalej; matka i córka wstąpiły do kościoła. Ależ chustka.... Wiedziała panna Paulina że jej niezgubiła; przyjęła ją, bo niechciała dać powodu do jakiej śmiesznej sceny na mieście. Lecz to jej wręczenie niemogło być bez celu. Cisnęła chustkę starannie, jakby się bała, aby jej jakim piśnięciem niezdradziła; niezdradziła, bo niemoże być, aby tam niebyło jakiejś zdrady koniecznie. Ale zkądże ono młode, dziecinne dziewczę miało instynkt tej zdrady? zdrady, której tak się bała odkrycia, a której ciekawego sobie wykrycia tak z duszy, z serca pragnęła. Tak lękliwie, spragniono poglądała na tę fatalną chustkę. Ach, póki życia, niebyła biedna, piękna dziewczyna w takim dręczącym kłopocie; nawet kiedy jej raz przy gościach pękła sukienka w gorsie. Obawa i ciekawość szarpały okrutnie jej niewinne serduszko, zaskoczone tak znienacka od słonecznych strzał życia, jak czasem jej biała twarzyczka bez parasolki od słońca. Ach... rozwinęła się chustka, i została się masiopa karteczka w rączce. Niewiedząc co czyni z tchem przytłumionym położyła ją w xiążkę... Stało tam:

»Dzięki ci! dzięki i sława żeś umiała przenieść głos serca nad konwenansy świata! Nadgrodzi ci serce zato. Niebo czeka tych tu na ziemi, co są w stanie otrząść się z pyłu ziemi. We wtorek w dzień twej zabawy rodzinnej, w dzień zabawy mego serca, we wtorek śród balu więcej.«

Złożyła xiążkę i złożyła ręce. Wyglądała tak spokojnie i bez wrażenia jakby była tę o sobie powiastkę przeczytała. Gniewać się niemogła, cieszyć niewypadało. A serduszko ach, ach, ach! tak biło zagłuszająco że jej niedało ani chwili rozwagi, co myśleć, co robić. Niesłychana nawet śmiałość tego kroku była ze wszech względów pochlebna Bo cóż nędzniejszego jak widzieć samą nieśmiałość, i niemódz wzbudzić śmiałości. Ach on taki śmiały! Boże kiedy go obaczę?.. na balu... między ludźmi... kiedyż się będzie przedstawiać?... Zginę... we wtorek... I poprawiła chustkę na piersi, jakby go już idącego widziała.

»We wtorek« myślała na drodze powracając do domu, i zamyślała się tak biedaczka że ją aż matka musiała szarpnąć za rękę, gdy się zapomniała i nieustępowała przed najeżdżającym powozem.

»We wtorek..« myślała przy obiedzie lejąc sobie na śmiech towarzystwa cały talerz kremy przy stole. Lecz cóż to czytelników obchodzi? Jakikolwiek, jednak niestosunek między nieskończenie długiem oczekiwaniem kochanków od niedzieli do wtorku, przeskakując ten cały przeciąg dodam tylko, że Gonzaga był właśnie od kilku współmuzykantów do grania na balu u pani K* wezwany, i biorąc to za oczy-

*) Quis, quid, ubi, quibus auxiliis, cur, quomodo, quando?

wistą skazówkę pomagającej mu opatrzności, mniemał że w charakterze zaproszonego muzykanta uzyska tem łatwiej wstęp do domu pani K*, a tem samem na naznaczone spotkanie.

Nadszedł wreszcie wtorek, uderzyła godzina siódma z wieczora, i poczęto się u pani K* zgromadzać. Tajemny węzeł dwojga serc zbliżał się ku rozwiązaniu. Jeżeli na wałach nie było między całem przechadzającem się towarzystwem delikatniejszego ogniwa nad owe jakie te młode serca łączyło, możemy jeszcze pewniej powiedzić, że niebyło między wszystkiemi przybywającemi w tej chwili i witającemi się osobami żadnego już milszego i ściślejszego spójnika jak ten który w tej przedbalowej chwili ściągał zdaleka te młode serca.

Gonzaga w pokoju, gdzie się zchodziła kapela, przechadzał się w milczeniu zdala od swych rubasznych kolegów i marzył coś niespokojnie, nie umiejąc znaleźć słowa na zalatujące go przymówki i pytania.

Panna Paulina, zostając teraz w misternych ręku swej pokojówki która ją ubierała, niemogła dojść do końca ze strojem. To nie do światła stanęła, to sobie lok zepsuła, to o krawędź zaczepiła, a raz przysunąwszy się nieostrożnie bufiastym rękawem do świecy, mało się niezajęła i zewnątrz. — Jaka panna niespokojna! przycięła Basia z uśmiechem. Niemożna sobie dać rady, tak się spieszy na bal już.

— Tyto, ty zapomniałaś dziś ubierać, odgadła wijąca się panna. Ach! coż robisz? kłujesz... i nieszarp tak na miłość boską. Nie, daj pokój, ty widzę dziś także czem innem zajęta. — Ale niechże panna pozwoli, ten fontaź het się skrzywił. Gdy tak nie narękę szło ubieranie, otwarły się drzwi i weszła sama pani K* Coż, jużeś gotowa Linciu? zawołała na córkę. Ależ na miłość boską, jakież twoje włosy!.. patrzno Basiu .. spojrzyj w zwierciadło Linciu! Cożto wam dziś takiego. I wzięła się sama do naprawiania włosów. Poczem pospieszyły obie na salon.

Zaczęła się już zabawa. Kapela i towarzystwo oddziaływały wzajem na siebie, brzmiała szumna muzyka, i krążyły tańce Lecz o ileż silniej ozwał się teraz głos serca. Dla Gonzagi dochodziła dziewiąta, dla Pauliny słodka nadzieja obaczenia miłego przyjaciela. »We wtorek na balu« odzywało jej się ciągle w myślach, i co chwila oczekiwała spełnienia obietnicy. Przecież go niespostrzegła. Ujrzała w prawdzie przechodząc przypadkiem koło grającej kapeli powabnego flecistę, zastanowiła się nawet, jakby nagłem uderzona poznaniem, ale... uwierzycież państwo?.. wykrzywione przeciągnienie dmuchających do fletu ust i skwapliwe gonienie muzykalnych oczu po nutach, przedrzyźniły tak w jej oczach fizionomię grającego młodzieńca, że ją sama myśl pozornej tożsamości jej zajmującego przyjaciela i tego żarliwego wirtuoza nadzwyczaj rozśmieszyła. Ale głos serca jej mówił że go ujrzy o wyznaczonym czasie, bo.. »we wtorek na balu«... cicho! przyjdzie, obaczę!

Tu nastała pauza balowa; pauza przeciągająca się aż do nadejścia owej szczęśliwej chwili, pauza mająca przedzielić życie naszych młodych kochanków w dwie nierówne połowy, w połowę jasną i ciemną; połowę dnia i nocy.

Niepostrzeżonym cieniem czmychał nasz idealny artysta pomiędzy grona gości na przeznaczone miejsce. Jedyną zawadą, jaką w tej krótkiej pielgrzymce do świętej ziemi swych ideałów doznał, była kupka paniczów, stojących właśnie we drzwiach i rozprawiających, o czem?.. o wdziękach panny Pauliny. Co za noga! mówił jeden z emfazą. Co za ręka! przechwalał drugi. A brwi!.. a powieki!.. podziwiali inni. Jednak nic nad zęby! zawarł ostatni znawca. Ach, to prawda! zgodzili się wszyscy. A to główna! — A zapewne, ładna twarzyczka się zmieni ale to... to zostanie. — Zgroza przejęła młodego mimowolnie podsłuchującego artystę na tę bluźnierczą i świętokradzką rozmowę. O piękności! westchnął z głębi duszy z litośnem spojrzeniem na to grono profanów; o piękności! patrzą na cię, a niewidzą cię! Rozbierają ciało na sztuki, ale ożywiającej jej duszy ztępionem, martwem okiem niedojrzą. O Paulino, Paulino! lepsząś część sobie wybrała.

Już stanął pod garderobą. Zagląda do niej... ciemno. Odchylił drzwi a przy blasku wpadającego światła, dojrzał siedzącą na kanapie postać. Ztłumione ach! zapowiedziało mu przytomność czekającego nań serca. Wpadł do ciemnej komnaty, przytrącił drzwi za sobą i rzucił się do nóg siedzącej tam dziewczyny.

Boże, boże! ile goryczy w życiu, taka chwila sowicie ją nadgrodzi. Kto jej niemiał ni razu, niech ma szkatuły, tytuły i wszelkie ziarno życia; wonnego kwiatu jego on nieznał. Ach mój aniele! mówił uszczęśliwiony młodzieniec głosem najczulszego serca, o mój aniele! kiedy się wszyscy bawią, ty tu siedzisz samotna, i to dla mnie! O aniele! szczęście moje szczęście niebieskie; ale człowiek, jakże odwdzięczę bóstwu?..

Jeżeli mię kochasz, odszepnął mu tajemniczy głos jego drugiego pół serca, jeżeli mię kochasz, a myślisz szczerze, możemy być szczęśliwi. — Kochanek niemiał słów na odpowiedź. Przycisnął lubą rękę do piersi, wzniósł twarz do nieba, czyli raczej do ciemnego sufitu, a uczuwszy tchnienie kochanki nad nią złożył usta na usta... Czy to niebiańska światłość ozarzyła cudownym blaskiem tę ciemną, tajemną scenę miłości? Nie, to światłość świecy którą wniosła panna Paulina. Wbiegła ona z nią do ciemnej garderoby, postawiła ją na krzesełku, podniosła spiesznie swoją chwaloną nóżkę z pękniętym właśnie trzewiczkiem na to samo krzesełko i rozwijając bandaże, zawołała: Basiu, Basiu! trzewików!

Jakiś niepewny szelest odpowiedział z kąta kanapki jej wezwaniu. Obejrzała się trwożliwie i obaczyła czułą parę kochanków... obaczyła biedaczka rozwiązanie tak długo plątanego romansu. Trzy wzroki zkrzyżowały się niewypowiedzianem zdziwieniem i pomieszaniem. Gonzaga wpatrzył się w swego łaskawego anioła, panna Paulina w swego poznanego teraz dokładnie przyjaciela. Aniołem była pokojówka, przyjacielem muzykant. Pokojówka która owe błąkania się ubogiego Gonzagi koło domu wzięła za palone sobie ofiary i ową karteczkę z garderoby na znak ich przyjęcia rzuciła; muzykant którego sądząc ze wszystkich szczegółów jako to: miny, zdybania na wałach, spotkania na lożowym kurytarzu w teatrze, panna Paulina za jakiego powaźniejszego niż zwykle panicza była wzięła, i między gośćmi na balu znaleźć się spodziewała. I ach! coż biedni kochankowie znaleźli! On pokojówkę, ona kapelistę! i jak uroczy blask xiężyca przed słońcem, zgasło przed rzeczywistością ich omamienie.

* * *

— Ale jakże on się tu dostał do garderoby? pytała, w kilka dni potem, panna Paulina pokojówkę przy rozbieraniu, udając zadziwioną i gniewną. — Ja sama niewiem... odparła, wpatrując się złośliwie w oczy jej pokojówka. Wpadł jakby był pewny swego... Panna Paulina zamilkła... Do ostatecznego porozumienia nie przyszło. Pokojówka zataiła że mu jedną kartkę rzuciła; panna że drugą odebrała. Wiele jest jeszcze tajemnic na świecie!

Panna Paulina przez czas jakiś była melancholijna i smutna, a mówiąc słowami poety:

Cały tydzień wzdychała,
Ale prędko czas leci,
Minął drugi i trzeci
A w czwartym zapomniała.

Artysta marzył jeszcze długo o sercu i jego głosie; lecz serce w naszym rozumującym wieku już tylko piękną, gotycką, romantyczną ryciną; świątynią opustoszałą; słonecznym zegarem w jesieni, co pokazuje fałszywie; a głos jego, jak słowik, na święty Wit — ach cyt... cyt!...

TEATR.

Czwartego b. m. widzieliśmy przedstawionego na naszej scenie Króla Lear; jestto jedna z najlepszych sztuk Szekspira i śmiało rzec można, jedna z najlepszych tragedij jakie dotychczas się pojawiły. Głębokość i świeżość myśli nie tylko słowami oddana, ale jak na dramat przystało w działaniach rozwinięta, jak charakteryzuje w ogólności umnictwo Szekspira, tak tę sztukę szczególniej zaleca. Wielka znajomość serca ludzkiego, zapuszczanie się w najskrytsze jego tajniki, zręczne wywabianie na wierzch bezdennych skrytości duszy, to wszystko oświecone blaskiem pomysłów godnych uwagi, a nieraz i rozpraw psychologa i moralisty, oto są główniejsze zalety dla których ta sztuka zawsze będzie roskoszą myślących i znawców. Przetrwała już wieki, z każdym wiekiem przybędzie jej wielbicieli; ale długo jeszcze niebędzie po widowniach tak rozumiana, jak nasze chwilowe dramaciki i farsy. Nie mało potrzeba usposobień i zastanowienia aby całkowicie ogarnąć dzieło na tak obszerny rozmiar wykonane. Przeto wyrazistszemi tylko częściami swojemi zajmować będzie publiczność, która przypatruje mu się cierpliwie i z uszanowaniem, niejako przez cześć tylko dla wielkiego imienia autora; całością zaś swoją nie zajmuie, tylko umnika i uczonego: wszakże jeden ustęp tej sztuki stał się Szyllerowi pierwszym pomysłem i prawie treścią do napisania Rozbójników.

Ósmego stycznia przedstawiono po raz pierwszy dramat przełożony z francuskiego p. Ancelot, pod nazwiskiem: Karolina czyli niestosowne małżeństwo. Dowodzono nam tu w ciągu czterech aktów że hrabia niemoże być szczęśliwym w małżeństwie, jeżeli niepojmie za żonę baronówny lub przynajmniej osoby umiejącej grać na arfie, czytać romanse, mówić po francusku i dygać w salonie. Bez tego cała moc i poświęcenie prawdziwej miłości, całe wylanie się wzniosłych i najszlachetniejszych uczuć, cały zapas nieskalanych, cichych cnót domowych, niczem są dla szczęścia małżeńskiego. Łaskawi czytelnicy! wierzcie lub niewierzcie, jak się któremu podoba; ale tak było istotnie. Dłużej się nadtem rozwodzić byłoby pisać traktat *o niechybnej śmierci.*

L. D-B.

Z powodu pospiechu w czasie świąt zaszły w numerze przeszłym znaczniejsze omyłki jako to: na str. 1 w przedziałce 2 wierszu 8, nieczytują, popraw *nieczytuję*; str. 3 prz. 1 w. 3 na rok, pop. *rok*; tamże w. 42 pękami, pop. *z pękami*; w. 43 dwie, dodaj *wstążki*; w. 46 tylko, dodaj *nieustąpi mu kapelusik*; w przed. 2 w. 8 zapatrywała, pop. *zaopatrywała*; str. 4 przed. 1 w. 29 obłędic, pop. *obłędu*; w. 45 użyteczność, pop. *użyteczność*; w. 51 dwojga, pop. *dwojgą*; str. 6 przed. 1 w. 4 zarozumiałości i pretensii, pop. *ô zarozumiałość i pretensię*; w. 7 tego, pop *twego*; w. 45 nieustalony, pop. *nieustraszony*; w. 46 zawody, pop. *zawady*; str. 8 przed. 2 wiersz 11 gród, pop. *ogród*.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.